Zatrzymane kadry

Po otwarciu 32. Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych można było się spodziewać mocnego uderzenia, ale spektakl „Kofman. Podwójne wiązanie” w reżyserii Anny Kalwat wręcz zapierał dech. Już od pierwszej sceny, granej przez Maję Ostaszewską i Jacka Poniedziałka, widownia została wprowadzona w trans, utrzymany do ostatniej minuty trwającego ponad dwie godziny spektaklu. Było to totalne zatrzymanie, przyjrzenie się gestom, mikroruchom, dialogom ostrym jak brzytwa i momentom milczenia, które tak przekonująco mówiły o świecie, w jakim znalazła się główna postać.

Sara Kofman to wychowywana w żydowskiej tradycji córka rabina, której świat nagle się roztrzaskuje. Wybucha wojna. Ale można powiedzieć, że dziewczynka ma szczęście. W przeciwieństwie do rodzeństwa, rozparcelowanego po ochronkach i obcych rodzinach, zostaje z matką. Znajdują schronienie u francuskiej damy, która za punkt honoru bierze sobie sformatowanie Sary na własną modłę, by nikt się nie zorientował, że mała jest Żydówką. A może nie tylko dlatego. Może po to, by zamanifestować swą wyższość klasową i intelektualną, pozwolić sobie na zachowania, na które w czasie pokoju nigdy by sobie nie pozwoliła. A może po to, by móc kochać kogoś jak córkę, bo miała tylko syna, który już się wyprowadził.

I tak zaczyna się walka o duszę, ale także o ciało Sary, od tej pory już zawsze rozdartej między dwa światy, dwa adresy, dwie matki. Na jednej szali kultura żydowska, z wpisaną w nią tradycyjną rolą kobiety, siłą rodowych więzi i pamięcią o rozstrzelanym na oczach Sary ojcu. Na drugiej szali powiew wolności, piękne bluzki, odkrywanie cielesności i piekielnie trudne do wymówienia francuskie „r”. Jednak to język stał się przepustką, nie tylko do przetrwania, ale i do lepszego życia, bogactwa intelektualnego. Mistrzowskie aktorsko sceny Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik jako Mémé i Mai Ostaszewskiej w roli Sary to obfitość odniesień i skojarzeń. Kontekstem jest tu teoria Chomsky'ego, że język nie jest tylko narzędziem komunikacji, ale narzędziem poznania. Struktura języka to siatka, która nakłada ramy i znaczenia na rzeczywistość. Zatem nowy język to rozsadzanie ram, poszerzanie spojrzenia na świat, które może sprawiać ból. Mémé uczy francuskiego tak, jak uczono kiedyś – przemocowo, z upokarzaniem ucznia. Można się bać, że to wszystko skończy się jak w słynnej „Lekcji” Ionesco. Ale w czasie wojny moralizowanie jest zupełnie nie na miejscu, bo Mémé uczy agresywnie nie tylko dlatego, że taka jest. Uczy, by Sara przeżyła, weszła w nową tożsamość jak kameleon, zaczęła aspirować do innego życia niż życie jej rodzonej matki. I ta niejednoznaczność Mémé, ze wszystkimi niuansami, czyni jej postać niezwykle interesującą na scenie.

A co tymczasem dzieje się z żydowską matką, równie fenomenalnie graną przez Marię Maj? W długiej, czarnej sukni, chuście na głowie, bez makijażu – jej wygląd kontrastuje z postacią Mémé. Kobieta przemyka cicho, chowa się po kątach, wychodzi zdobywać jedzenie, bo Mémé częstuje głównie Sarę. Matka stanowczo reaguje na próby lekceważenia żydowskich zwyczajów i wprowadzania francuskich, ale jest na przegranej pozycji. Jednym z symbolicznych pól walki kobiet jest właśnie jedzenie. Koszerne czy niekoszerne? Co lepsze, smaczniejsze? A problemy Sary z jedzeniem zaczęły się jeszcze przed zamieszkaniem u Mémé. Reakcją na wojenną traumę były wymioty, m.in. dlatego nie udało się umieścić Sary na stałe u żadnej rodziny. Przeciążone ponad miarę ciało protestuje jak umie, problem narasta, dziś zaproponowano by gastroskopię i leczenie zaburzeń odżywania, wtedy nie było nic. Tylko negocjacje dwóch matek, prowadzone gdzieś nad głową dziewczynki.

Potem Sara szuka ocalenia w sądzie, gdzie zarzuca żydowskiej matce fizyczną przemoc, mieszka w internatach, z determinacją zdobywa awans społeczny. Znajduje ukojenie w filozofii, którą

namiętnie studiuje, ale szklanego sufitu przebić nie jest w stanie. Są miejsca, do których jako kobieta i Żydówka mówiąca z wyczuwalnym akcentem się nie dostanie, nieważne, ile pracy w to włoży i jak bardzo będzie zdolna.

Kolejna dwoistość, pięknie oddana w spektaklu, dotyczy tradycyjnie męskiego podejścia do nauki, skrajnie racjonalnej filozofii filozofowania. Sara chłonie filozofię duszą, ciałem, interpretuje zindywidualizowanym czuciem i osądem. A to nie był czas na kobiecą perspektywę w filozofii. To światy, które przeciąć się nie mogły. Jacek Poniedziałek świetnie odgrywa kolejne męskie role: ojca, egzaminatora, sędziego, Jacques'a Derridy, współpracownika Sary.

Swoją drogą nie sposób oprzeć się refleksji, że wychowywanie się Sary w domu, którego ważnym elementem pozostawało czytanie świętych ksiąg i zgłębianie zagadki istnienia, to wspaniały grunt pod studiowanie filozofii. Paradoksalnie. Czy filozofia ją ocaliła? W dużej mierze tak. Sara została filozofką, eseistką, profesorką. Ale to nie uchroniło jej przed utrzymującym się całe życie psychicznym bólem. A teraz zróbmy to, co najważniejsze: sprawdźmy hasło Sarah Kofman w internecie, sięgnijmy po jej książki i biografię. Bo jeszcze do niedawna tych haseł w Wikipedii nie można było znaleźć. A spektakl może się przyczynić do zachowania pamięci o tej wyjątkowej kobiecie.

Paulina Ilska

Fot. Bartek Warzecha

32. Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Łodzi.
Janusz Margański, Monika Muskała, „Kofman. Podwójne wiązanie”", reżyseria: Katarzyna Kalwat, Nowy Teatr w Warszawie w koprodukcji z Festiwalem Nowe Epifanie (Centrum Myśli Jana Pawła II).